

9. miejsce

Sebastian Knapik

Godło: Flugur

Klapka na muchy

Nie w porę była ta śmierć. Niby spodziewana, przywoływana też wielokrotnie, ale jednak nie w porę. Pierwszy raz miałem stałą dziewczynę i chciałem nacieszyć się tą chwilą, poczerpać garściami z tego nowo poznawanego szczęścia, a wylądowałem tu. Na tej zapadłej wsi, w starym domu, który nawet nie był już dziadków, bo przepisali go potajemnie na ciotkę. Ta zaraz potem umarła i sprawy się jeszcze bardziej skomplikowały. Tak czy inaczej siedziałem teraz na moim ulubionym od maleńkości odrapanym krześle, z klapką w dłoniach, i odganiałem muchy od zmarłej babci.

Leżała na środku stołowego - w miejscu stołu właśnie - w otwartej dębowej trumnie, umieszczonej na przenośnych katafalkach i trzeba to jasno powiedzieć: była nieżywa i zaczynała już tracić swój kształt oraz inne właściwości. Przycichła, a ręce targane wcześniej Parkinsonem leżały spokojnie. Muchy skądś się o tym dowiedziały i co chwilę jakiś głośny, uparty owad kołował nad babciną głową, raz po raz próbując na niej przysiąść. Starłem się odganiać je ręką lub

klapką, którą lata temu zrobił dziadek, a babcia używała nieustannie. Była to chyba najbliższa jej rzecz, jakby się dobrze zastanowić. Codziennie miała ją w rękach. Zabijała lub przeganiała muchy lub inne owady. Służyła też do karcenia krnąbrnego psa, kota, a i dziadkowi się nią nieraz dostało. Drewniana, kiedyś brązowa rączka była prawie czarna i gładka, a skórzana - przywiązana do trzonka mocnym drutem - łata, powycierana mocno na środku. Nosila ślady uderzeń i tysięcy zabranych małych żyć.

Zacząłem zastanawiać się, czy nie włożyć klapki do trumny. Niech ma na ostatnią drogę i dłużej. Lubiała siadywać przy oknie obserwując ulicę, a przy okazji polując na wszechobecne muchy. Właściwie odkąd pamiętam miała ją w którejś ręce. Przy gotowaniu, domowym krzątaniu czy leżąc na kozetce ze swoim „atakiem”.

Machnąłem klapką tuż nad jej głową i wróciłem do wcześniejszych myśli.

Planowałem taki fajny tydzień. Sesja zaliczona, z Markiem umówiłem się, że pokój będę miał tylko dla siebie. Moglibyśmy z Elą spędzić kilka dni w łóżku oglądając filmy, słuchając muzy i kochając się bez przerwy. Ech... babciu, babciu. Nie mogłaś jeszcze pożyć? Chociaż tydzień lub dwa? Gdy zabrano cię do szpitala myślałem, że to znów te twoje zwykłe zawroty głowy i słabości. Czasem podejrzewałem nawet, że symulujesz albo robisz na złość rodzicom by zwrócić

na siebie uwagę. Nie reagowaliśmy już na hasło „mam atak”, a tu masz babciu placek. Naprawdę umarłaś - tak jak nam wielokrotnie zapowiadałaś.

Pac! Zabiłem bestię na brzegu trumny. Tłusta małpa. Muszę to wytrzeć. Kolejna lata przy jej rękach. Strasznie jej spuchły. Paznokcie poczerniały. Zimna jest. Dziwne uczucie. To już ciało, przedmiot - nie człowiek. A zawsze miała takie ciepłe i miękkie dłonie. Głaskała mnie nimi, obejmowała, przewijała, dawała jedzenie i pieniądze, które wyciągała ze skrytki w sienniku. Nigdy tam nie zajrzałem. Nawet mnie nie korciło. Ha - Babciu! Spałaś na pieniądzach! Na pieniądzach i słomie. Wygodne to było poślanie, sam je lubiłem.

Kurczę, zaczęło mi się robić smutno. Do tej pory byłem zły na tą śmierć i całą sytuację, teraz pojawiał się żal. To pierwsza tak bliska osoba, co mi umarła. Wychowywała mnie przez wczesne lata bardziej niż nieobecni rodzice. Matka na studiach, ojciec w wojsku, a ja tutaj. Wśród tych bladych ścian, stodół, kur, gęsi, krów i miłości. Cholera, chyba się jednak popłaczę.

Czoło też ma zimne. I źle upięli jej włosy. Warkocze lubiła. Może poprawię jakoś? Tylko jak zapleść leżącemu w trumnie warkocz? Trudno. Musi tak zostać. Pod głową ma zresztą coś podłożone, jakby stelaż. Nie będę lepiej ruszał. Skupię się na tych muchach - pomyślałem.

Od sieni usłyszałem ciche głosy. Ktoś szedł. To chyba ta ciotka z końca wsi z synem. Dużo tych ciotek, wujów i kuzynów, ale z większością nie utrzymujemy kontaktów. Obce to wszystko. Porwało się. Teraz tylko pogrzeby i stypy przez chwilę, pełniące funkcje wieczorków zapoznawczych. Potem i to się rozleci.

- Dzień dobry, sam jesteś?

- Dzień dobry. Tak, ojciec z dziadkiem do kościoła pojechali. Wypowiadać się chcieli. Będą pewnie niedługo.

- Nie szkodzi my tylko tak przyszli pożegnać się z Weronką. I pomodlić za nią.

Siadłem na krześle pod ścianą i obserwowałem te ciche procesje.

Wieczorem zostałem sam z dziadkiem i... babcią. Zrobiłem nam herbaty i położyłem się w sąsiednim pokoju, na moim starym, przykrótkim tapczanie. Przez wysoką szybę w drzwiach, zasłoniętą jedynie cienką zazdroską, widziałem tańczące w płomieniach gromnicy cienie. Dziadek wciąż tam był. Nie chciał stracić ani jednej ziemskiej chwili ze swoją Babką. Nie widziałem nigdy takiego ogromu szczerej miłości. I rozpaczy. Wstałem z łóżka i podszedłem do szyby. Siedział przy trumnie i trzymał żonę za rękę. Głaskał ją delikatnie i co chwilę kiwał z niedowierzaniem swoją białą głową.

Czy ja kiedyś też będę tak kochał? Czy będę tak kochany? Czy ktoś za mną zatęskni choć w połowie tak jak oni?

Zapukałem delikatnie i podszedłem do dziadka. Widząc mnie pokręcił znów głową i pokazał na babcię.

- Wiem, dziadku. Wiem. Też ją bardzo kochałem. Przytuliłem mocno jego drobne ciało. Był niższy ode mnie o głowę. Staliśmy tak długo, a on - jak tylekroć ja wcześniej - szłochał skryty w moje ramię.

- Nie chcesz iść odpocząć? Położyć się trochę? Ja z nią posiedzę może?

Zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

- Zostanę - wyczytałem z jego niemych od ostatniej operacji ust.

- Dobrze, będę tu obok - wyszedłem cicho, zostawiając go ze swym smutkiem. Prócz skwierczenia świecy słyszałem to nieznośne bzyczenie kilku much.

Zasnąłem płytkim, przerywanym snem. Wstawałem co jakiś czas i patrzyłem przez drzwi. Był tam niezmiennie. Spędzali ostatnią noc razem. Nie niepokoiłem ich.

Rano sprawy zaczęły nabierać tempa. Przyjechali rodzice. Wuj z ciotką, kuzynka Iwona i dalsza rodzina. Zbierali się w grupy i dyskutowali jak to na pogrzebach: o pogodzie, gospodarce, polityce, dzieciach, no i że mogła jeszcze pożyć. Siedemdziesiąt dziewięć lat to przecież nie wyrok.

Przed jedenastą przyszedł ksiądz z pomocnikami i wyprowadzili trumnę z domu, śpiewając chóralnie *Anielski*

orszak. Do kościoła szliśmy powolnym pochodem. Nie było daleko. Świeciło słońce.

Wcześniej zabiłem znów kilka much i odganiałem je dalej, gdy nikt nie patrzył. Tuż przed zamknięciem pokrywy wydawało mi się, że jakiś wielki owad wleciał do trumny i siadł babci na twarzy. Chciałem jeszcze zareagować, ale przykręcali już śruby.

Całą drogę do kościoła i podczas mszy wydawało mi się, że słyszę brzęczenie dochodzące z trumny. Pojawiało się, narastało i znikło.

- Słyszysz to? - zagadnąłem w końcu Iwonę.

- Tak, tak. Pięknie grają - odpowiedziała zapłakana.

Ksiądz kończył, okadzał jeszcze trumnę, ludzie zaczęli zbierać kwiaty i wieńce. Podeszedłem do, jak mi się wydawało, szefa ekipy pogrzebowej.

- Panie kierowniku sprawa jest -zagadałem. -

Pojechałbym z wami na cmentarz, tylko zatrzymajcie się jeszcze przed domem. Zapomnieliśmy włożyć zmarłej okulary do trumny, a wiecie jak to jest.

- Panie, ale to już późno i kłopot.

Wcisnąłem mu pogniecioną stówę w rękę.

- Żaden kłopot, wiadomo, taki zwyczaj. Tylko szybko proszę - odpowiedział.

Siadłem z tyłu obok trumny. Teraz byłem pewien - bzyczenie było wyraźne. Jakby zwielokrotnione.

Karawan zatrzymał się przy naszej bramie, a ja szybko wyskoczyłem do domu. Schowałem klapkę za poły marynarki i wróciłem.

- Odkręćcie mi babcię na chwilę? - poprosiłem.

Podnieśli wieko, a ja sprawnie rozprostowałem babcine palce i wyjąłem jej z prawej dłoni różaniec. I tak nigdy go nie używała. Co innego klapka. Włożyłem jej do ręki i pogłaskałem ostatni raz.

- A okulary? - zapytał któryś z kopidołów.

- Ona szkła nosiła, dałem jej do kieszeni nowy komplet.

Ruszyliśmy na cmentarz. Nadśłuchiwałem dalej.

Brzęczenie pojawiało się jeszcze kilkakrotnie. Gdy opuszczano trumnę do grobu przy zawodzącym rzewnie organiście, jednemu z grabarzy wysunęła się lina z ręki. W trumnie się coś poruszyło. Byłem pewien, że usłyszałem głośnie pac-pac. Po chwili wszystko ucichło.